

Sprawozdanie - Magiczny Lwów 19-23.10.2019

Stało się. 19 października o godzinie 10.00 wyruszyliśmy do Lwowa. Naszemu wyjazdowi przyglądał się nieco z góry, Adam Mickiewicz. Czyżby przeczuwał, że w sercu Lwowa spotkamy się z nim powtórnie? Być może. Punktualnie o godz. 10.00 w radosnych nastrojach wyruszyliśmy do Rzeszowa, gdzie mieliśmy zaplanowany pierwszy nocleg.



W trakcie podróży jeden z uczestników wycieczki pan Norbert Kulpa zapoznał nas z historią Ormian na Kresach Wschodnich, a także podzielił się z nami ciekawymi i zupełnie nieznanymi powszechnie informacjami dotyczącymi obecności Jana Ignacego Paderewskiego we Lwowie w czasie, kiedy był już premierem II RP. Był to ciekawy przerywnik.

Drugiego dnia po wczesnym śniadaniu ruszyliśmy w kierunku przejścia granicznego. Choć zdecydowana większość z nas w czasach głębokiego socjalizmu odwiedzała Związek Radziecki i uczestniczyła w koszmarnych, trwających niekiedy nawet kilka godzin odprawach, którym często towarzyszyło skrupulatne przeszukiwanie całego bagażu, to zdążyliśmy już o takich sytuacjach zapomnieć. Po przystąpieniu Polski w 2007 roku do strefy Schengen zaczęliśmy beztrudnie jeździć na zachód bez wbijanych w paszporty pieczętek, „wklejanych misi” czy kontroli bagażu. Byliśmy, zatem ciekawi obecnych procedur. Najbardziej jednak baliśmy się wielogodzinnego oczekiwania na przejściu. Granica nas mile zaskoczyła. Mieliśmy szczęście i byliśmy pierwszym autokarem w kolejce. Nie oznaczało to jednak natychmiastowego przejazdu. Nie, tak cudownie to na tej granicy nie jest. Zebranie przez wopistę paszportów, sprawdzenie ich ważności, potem ponowne rozdanie, a równolegle sprawdzenie i wbicie pieczętek w dokumenty autokaru zajęło ponad 40 minut. Na

szczęście celnicy nic od nas nie chcieli i mogliśmy wjechać na Ukrainę. To był jednak dopiero półmetek. Po drugiej stronie oczekiwały na nas miejscowe służby graniczne. Nastąpiła powtórka czynności. Zbieranie, pieczętowanie i rozdawanie. Ponieważ tu potrzebne były jeszcze kserokopie dokumentów, więc trwało to dłużej. Na szczęście celnicy też nie byli zainteresowani naszym bagażem, więc łącznie przekraczanie granicy zajęło nam 2 godziny. Lwów od przejścia granicznego w Korczowej dzieli tylko 72 kilometry, ale droga M10 to nie Autostrada Wolności i przejazd tego odcinka zajął nam kolejne 2 godziny. Lwów, mimo wczesno popołudniowych godzin, przywitał nas ogromnymi korkami samochodów na ulicach i tłumami ludzi na chodnikach. Wszyscy gdzieś się przemieszczali.

Naszym lwowskim lokum był usytuowany w centrum miasta Hotel Cezar. Jest on niezwykle dogodnie położony. Przejście spacerem do Opery czy na Rynek zajmowało nam około 10 – 15 minut, co mieliśmy okazję sprawdzić jeszcze tego samego dnia. Nasz prawdziwy kontakt z miastem zaczęliśmy bowiem od zwiedzenia Opery oraz spektaklu baletowego Don Kichot.



W hotelu pojawiła się nasza miejscowa przewodniczka pani Jadwiga i razem wyruszyliśmy do miasta. Już po drodze przekazała nam wstępne informacje na temat historii miasta i mijanych obiektów. Przed rozpoczęciem spektaklu zdążyliśmy obejrzeć gmach, zapoznać się z jego niezwykłą historią, a dodatkowo obejrzeć słynną kurtynę Siemiradzkiego. Kurtyna ta publicznie pokazywana jest tylko przy okazji niedzielnych spektakli. Dlatego bardzo trudno w te dni o bilety. My mieliśmy szczęście.



Sam spektakl baletowy zachwycił nas tak samo lub może jeszcze bardziej niż zaprojektowany przez, związanego z Wielkopolską, Zygmunta Gorgolewskiego, obiekt. Eklektyczny budynek jest bez wątpienia jednym z najważniejszych zabytków miasta. Nie tylko dziełem sztuki w zakresie architektury, ale również rzeźby i malarstwa.



Po uczcie duchowej postanowiliśmy zadbać o ciało. Poszliśmy do gruzińskiej restauracyjki Chinakalna, schowanej w malowniczym zakątku przy Krzywej Lipie. Tam czekały już na nas chatapuri i niesamowite pierożki chinakali. Powinniśmy zacząć od kuchni ukraińskiej, ale nie było w centrum knajpki, która zechciałaby w ostatniej chwili zarezerwować ok. 40 miejsc, bo tyle osób wyraziło chęć pójścia na wspólną kolację. Nim jednak dotarliśmy do knajpki postanowiliśmy spotkać się z naszym wieszczem. Wiele osób uważa, że lwowski pomnik jest najładniejszym, jaki Mickiewiczowi postawiono. Trzeba przyznać, że prezentuje się okazale. Jest też takim swojskim elementem w centrum miasta. Co nas zdziwiło? Tłumy obcojęzycznych turystów robiących sobie na jego tle zdjęcia. Czy oni wiedzieli, kto to Mickiewicz, czy tylko podobał im się pomnik? Zabrakło czasu na pytanie. Na nas czekała kolacja. Chaczapuri, smaczne pierogi, gruzińskie wino i Lwów był nasz. Bardzo późnym wieczorem dotarliśmy do hotelu.

Kolejny dzień zaczęliśmy od spotkania z naszą przewodniczką panią Jadzią i zwiedzenia jednej z 3 katedr, a mianowicie od grekokatolickiego soboru Św. Jura. Historia świątyni sięga XVIII wieku. Postawiono ją na wyniosłym wzgórzu za miastem. Jej twórcą jest pochodzący z Włoch, Bernard Meretyn - jeden z najwybitniejszych lwowskich architektów doby rokoka, a jednocześnie prekursor form rokokowych na ziemiach polskich. Cały zespół, otoczony murem, obejmuje, oprócz katedry, również dzwonnice, budynki kapituły oraz pałac metropolitów. Całość stanowi niezwykle malowniczy, widoczny z daleka zespół architektoniczny. W 1998 sobór św. Jura został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. We wnętrzu zachwylił nas rzeźbiony rokokowy ikonostas oraz cudowna XVII - wieczna ikona Matki Boskiej Trembowelskiej (uratowana przed Turkami przez bpa Józefa Szumlańskiego i przywieziona do Lwowa w 1673 r.). Zainteresowani zajrzeli jeszcze do podziemnej krypty, gdzie pochowani są grekokatolicki metropolici.





Z katedry św. Jura pojechaliśmy w symboliczne miejsce miasta czyli na wzgórze Wysoki Zamek. Tu, bowiem wszystko się zaczęło. Przewodniczka wybrała nieco dłuższą, ale mniej stromą trasę wejściową. Nie było łatwo, ale daliśmy wszyscy radę. Miejsce to również znajduje się na liście UNESCO. Podążając na szczyt przechodziliśmy przez zajmujący prawie 40ha powierzchni park. Po drodze trafiliśmy na rzeźbę Lwa, który jest symbolem tego miasta. Na wzgórzu znajduje się jedyny zachowany fragment warownego gotyckiego, murowanego zamku wybudowanego przez króla Polski Kazimierza Wielkiego w 1362 roku, w miejscu dawnej drewnianej twierdzy. Ona to dała początek miastu. Wysoki Zamek pełnił nie tylko rolę rezydencji królewskiej, ale i więzienia. W XVIII w zamek popadał w ruinę. Po zajęciu Lwowa przez Austriaków większość murów została rozebrana. My korzystając z cudownej pogody podziwialiśmy z platformy widokowej nie tylko panoramę całego Lwowa, ale nawet jego przedmieść. Gdybyśmy zaczekali jeszcze trochę, była szansa na zobaczenie wierzchołków Karpat. Niestety czas nieubłaganie nas gonił.

Z Wysokiego Zamku przenieśliśmy się na zabytkowy Rynek. Tu po przekazaniu nam kolejnej dawki informacji na temat historii miasta zajrzeliśmy do niezwykle malowniczej, a pochodzącej z 1775 roku apteki. W jej wnętrzach kryje się muzeum farmacji, a jednocześnie jest to najdłużej działająca placówka apteczna w mieście. Pierwsza sala, w której cały czas sprzedawane są leki, wygląda dokładnie tak, jak w przedwojennym Lwowie. Pomieszczenie wypełniają stare meble, a ściany ozdobione są pięknymi malowidłami. Z oglądanych na Rynku kamieniczek naszą uwagę przykuła też Kamienica Czarna. Jej nazwa pochodzi od koloru elewacji. Czarna kamienica jest uważana za jeden z najcenniejszych zabytków budownictwa mieszczańskiego z epoki renesansu w dawnej Polsce. Będąc na Rynku, złożyliśmy także wizytę w Kamienicy Królewskiej, która przez pewien czas była własnością

Sobieskich i często przebywał w niej Jan III. W 1678 roku budynek ten gruntownie przebudowano na okazałą rezydencję i nazywa się go „małym Wawelem”.



W tych murach w 1686 roku podpisano pokój wieczysty między Polską, zwany pokojem Grzymułtowskiego. W XVII wieku przez miesiąc przebywał tu król Władysław IV. Zachowany wystrój niektórych wnętrz oraz części mebli i sprzętów pozwoliły nam w wyobraźni przenieść się do minionych epok. Wbrew pozorom nie wielu było chętnych na zamianę swojego obecnego życia na tamto, nawet w komnatach królewskich. Dużo śmiechu wywołały natomiast, tak rzadko już dziś widywane w muzeach, filcowe kaptcie.



Lwowski Rynek stał się nam nie tylko bliski z powodu 44 otaczających go urokliwych kamieniczek, z których większość kryje niezwykle ciekawe historie. Wielu z nas czuło się trochę jak na

poznańskim Starym Rynku. Wszystko za sprawą usytuowanych w 4 narożnikach przepięknych studni – fontann, zdobionych przez rzeźby: Neptuna, Amfitryty, Adonisa i Diany.

Po rynku i kamieniczkach przyszła kolej na wizytę w kolejnej świątyni. Tym razem była to przepiękna Katedra Ormiańska. Najstarsza jej część wybudowana została w XIV wieku z surowych bloków kamienia. Surowe było też wnętrze. Większego przepychu nabrała dopiero w trakcie przebudowy w XVII wieku. Potem jej losy były różne. Dopiero w 2001 roku ponownie stała się świątynią ormiańską. Na nas największe wrażenie zrobiły stare krzyże wotywny, czyli chaczgary. Symbolika tego krzyża to Drzewo Życia. Z jego ramion wyrastają pączki i liście, a podstawa często przypomina, jak u pierwszych chrześcijan – kotwicę lub liście palmowe układające się w formę skrzydeł.

Zwiedziliśmy katedrę grekokatolicką i ormiańską. Nadszedł więc czas na odwiedzinę katedry łacińskiej. Zanim jednak przekroczyliśmy próg jej gotyckich murów, obejrzelśmy grobową kaplicę lwowskiej rodziny kupieckiej Boimów.



Pomyślana, jako rodzinne mauzoleum kaplica, postawiona została na przylegającym do kościoła cmentarzu. Jeśli Bolimowie marzyli o sławie i pamięci po śmierci to ich marzenie dzięki kaplicy oraz likwidacji dawnego cmentarza się ziściło. Manierystyczny charakter budowli budzi zainteresowanie, a obecna lokacja obiektu między katedrą a urokliwymi knajpkami sprawia, że każdego dnia historię rodziny poznają dziesiątki, a nawet setki kolejnych turystów. Podobnie jak usłyszeliśmy i my w drodze do katedry.

Historia Bazyliki Archikatedralnej p.w. NMP sięga też czasów Kazimierza Wielkiego. Na przestrzeni wieków była świadkiem wielu wydarzeń. Odwiedził ją król Władysław Warneńczyk, a

śluby lwowskie składał w jej murach Jan Kazimierz. Do świątyni przylega 6 kaplic. Za najpiękniejszą, a jednocześnie za prawdziwe dzieło renesansu, uważana jest Kaplica Pana Jezusa Ubiczowanego.

Bazylika była ostatnim punktem obowiązkowego programu na ten dzień. Mimo, iż mieliśmy za sobą wiele przejechanych kilometrów i moc wrażeń, postanowiliśmy udać się ponownie pod pomnik Adama Mickiewicza i w promieniach zachodzącego słońca zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Udało nam się w ostatniej chwili.



Kolejny dzień pobytu we Lwowie rozpoczęliśmy od oczekiwanej przez większość, wizyty na Cmentarzu Łyczakowskim i Cmentarzu Orłąt.

Cmentarz Łyczakowski uważany jest za jeden z najważniejszych polskich cmentarzy. Należy też do najstarszych w Europie. Wytyczony został w 1786 roku przez cesarza Józefa II. Usytuowany na obrzeżach miasta szybko stał się reprezentacyjną nekropolią. W niecałe 100 lat później botanik Karol Bauer wykorzystując pagórkowate położenie terenu oraz starodrzew nadał temu miejscu charakter parku krajobrazowego. Spacerując alejkami Łyczakowa mijaliśmy kapliczki i grobowce postawione w różnych stylach od historyzmu, przez secesję po art. deco. Wiele z nich wprawiło nas w zachwyt. Niektóre z nich to wybitne dzieła sztuki. Na cmentarzu odwiedziliśmy miejsca spoczynku wybitnych Polaków, m.in.: Artura Grottgera, Gabrieli Zapolskiej, Juliana Konstantego Ordon, Zygmunta Gorgolewskiego, Marii Konopnickiej. Na grobie, zmarłej w 1910 roku, Marii Konopnickiej zawsze płoną znicze i leżą świeże wiązanki kwiatów. Tak było też w trakcie naszego pobytu. Pogrzeb Konopnickiej był jedną z największych uroczystości żałobnych miasta. Wzięło w nim udział ponad 50 tysięcy osób. W dniu pogrzebu pisarki całe miasto ozdobione było klepsydrami i czarnymi flagami.

Wszystkie polskie czasopisma ukazały się w czarnych obwódkach, a szkoły i warsztaty były w tym dniu zamknięte.



Cmentarz Orłąt Lwowskich, zajmuje największą kwaterę Cmentarza Łyczakowskiego. Pochowanych jest tutaj ok 3,5 tys. Polskich żołnierzy, z których znaczną część stanowią obrońcy miasta w bitwie o Lwów i uczestnicy walk w Małopolsce Wschodniej podczas konfliktu polsko-ukraińskiego.

Skąd nazwa Orłąt?

Otóż burzliwa historia rozpoczęła się pod koniec I Wojny Światowej. Kiedy pewny był już rozpad Austro-Węgier, dowództwo wojskowe dawnego zaborcy postanowiło wesprzeć dążenia niepodległościowe Ukraińców. Rozmieścili we Lwowie i jego okolicach kilka tysięcy żołnierzy narodowości ukraińskiej, jednocześnie wysyłając polskich żołnierzy na odległe fronty. 19 października 1918 r. na zjeździe we Lwowie ukonstytuowała się Ukraińska Rada Narodowa, która podjęła decyzję o próbie utworzenia państwa z granicą sięgającą aż do linii Sanu. Składająca się w 60% z Polaków, a tylko w 10% z Ukraińców ludność Lwowa nie chciała się na takie warunki zgodzić. Zaczęły powstawać pierwsze ruchy oporu. W walkach wzięty udział 6022 osoby z czego aż 1374 stanowili uczniowie szkół powszechnych, średnich i studenci, a niemal połowa, bo 2640 nie przekroczyła 25 r. życia. Z tego powodu uczestników walk nazywano nie orłami a **orłętami**.



Niestety po II wojnie światowej, na mocy postanowień w Jałcie i Poczdamie, Lwów znalazł się poza granicami Polski i zamieszkali go w głównej mierze Rosjanie i Ukraińcy. Wtedy rozpoczął się proces unicestwiania cmentarza, zwanego Santo Campo, czyli święte miejsce.

W 1945 r. zaczął się wręcz czas jego profanacji. Cmentarz popadał w coraz większą ruinę, a w 1971 r. czołgi i spychacze wjechały, aby zrównać go z ziemią. Cmentarz zamieniono na śmietnisko i pastwisko. W sąsiedztwie utworzono dyskotekę. W 1989 r. dzięki firmie Ergopol i Polakom mieszkającym we Lwowie udało się rozpocząć proces odbudowy cmentarza. Trwał on 16 lat, aż do 2005 r., kiedy nekropolia została oficjalnie otwarta.



Obecnie na cmentarzu znajduje się kaplica, katakumby, pomnik lotników amerykańskich z brygady Tadeusza Kościuszki, którzy swoją pomocą chcieli spłacić dług wdzięczności wobec Polaków walczących w USA i pomnik piechurów francuskich, broniących szybów naftowych i rafinerii. Nad całością dominuje łuk Chwały z wykutą sentencją: „Mortui sunt ut liberii vivamus”, co oznacza: „Umarli byśmy mogli żyć, jako wolni”. Przy kolumnach łuku stoją dwa lwy. Trzymają one tarcze z napisami: „Zawsze wierny” oraz „Tobie Polsko”. Niestety z przyczyn politycznych są one zasłonięte.



O ile wizyta na Cmentarzu Łyczakowskim i widok pięknie zadbanych grobowców znanych Polaków wprawił nas w doskonały nastrój to odwiedziny Cmentarza Orłąt były słodko-gorzkim doznaniem.



Z Łyczakowa wróciliśmy do centrum i udaliśmy się do budynku dawnego Kasyna Szlacheckiego, zwanego także Końskim. W czasach świetności był to klub przypominający kluby angielskie, w którym spotykali się przedstawiciele galicyjskiej arystokracji. Tu załatwiano interesy i rozmawiano o polityce. Tu odbywały się eleganckie bale, koncerty i przedstawienia teatralne. Wnętrze nas oczarowało. Trudno było oderwać wzrok od dębowych z kunsztowną balustradą schodów. Niespodzianką była też wykonana z różowego marmuru fontanna na szampa.



Z Kasyna przeszliśmy do Pałacu Potockich oglądając po drodze założoną w 1661 roku przez Króla Jana Kazimierza Akademię Lwowską, a obecnie Uniwersytet im. Iwana Franki.



Ten znakomity ukraiński poeta, pisarz, tłumacz i folklorysta był wielkim przyjacielem Polaków. Pierwsze swoje teksty literackie pisał po polsku. Utrzymywał kontakty m.in. z Elizą Orzeszkową, Stefanem Żeromskim, Aleksandrem Brucknerem. Przetłumaczył na język ukraiński m.in. twórczość Adama Mickiewicza.

Do wnętrza Pałacu Potockich, pełniących dziś rolę Galerii Sztuki Współczesnej, nie udało nam się wejść, ale zarówno pałac, jak i okalające go budynki zrobiły na nas wrażenie.



Naszym kolejnym celem była dawna dzielnica żydowska. Zmierzając do niej zrobiliśmy sobie spacer wzdłuż reprezentacyjnego Bulwaru Swobody. Obejrzeliśmy kultowy już dziś, a jednocześnie najstarszy Hotel George. Potem zanurzyliśmy się w otaczających rynek uliczkach.



Zachwyciła nas ilość stylowych knajpek, restauracji i pubów przedzielonych pijalnicami nalewek i sklepami z pamiątkami. Miejscami, mimo nieturystycznego już czasu, trudno było przejść. Przy każdej uliczce można spotkać zarówno eleganckie restauracje, jak i małe, pomysłowo zaaranżowane knajpki. Wszystko ma tu swój klimat.







Po spacerze uliczkami wokół rynku, obejrzeniu kwartału żydowskiego wraz z ruinami synagogi Złotej Róży, pojechaliśmy do znanego lwowskiego browaru Lwiarnia. Być we Lwowie i nie popробować miejscowego piwa to grzech. Piwo już od 3 wieków odgrywa we Lwowie ważną rolę. Lwowski browar był jednym z największych na terenie Polski, Austro-Węgier oraz Ukrainy. Nadal piwo lwowskie uznawane jest za najlepsze konserwowe piwo na Ukrainie, a Lwów to największe miasto z browarniczymi tradycjami w tym kraju. Na miejscu zwiedziliśmy muzeum piwa, a następnie

udaliśmy się na degustację złocistego trunku. W ramach degustacji otrzymaliśmy zarówno piwo ciemne, jak i jasne, pasteryzowane oraz nie. Byliśmy pod wrażeniem jakości i smaku.



Browar Liviarnia był ostatnim punktem naszego programu we Lwowie. Tu pożegnaliśmy się z naszą przewodniczką panią Jagodą. Przez ten krótki czas przekazała nam ogrom informacji o Lwowie, pokazała mnóstwo ciekawych miejsc, pozwoliła poczuć klimat i rytm miasta. Jeszcze raz bardzo jej z tego miejsca za to dziękujemy. To, że browar kończył nasz oficjalny program, nie oznaczało że zamierzaliśmy pożegnać się już ze Lwowem. Wariantów na wieczór było kilka. Niektórzy z uczestników poszli na rynek nacieszyć się atmosferą miejscowych knajpek i posłuchać wieczornych ulicznych koncertów, inni postanowili spędzić ten czas przy lokalnym koniaku na usytuowanym na dachu hotelu, klimatycznym tarasie, a jeszcze inni czując niedosyt zwiedzania poszli obejrzeć kultowy lwowski dworzec kolejowy, gdzie nadal panują klimaty z czasów Związku Radzieckiego.

Następnego dnia wyruszyliśmy w kierunku Polski. Po drodze mieliśmy jeszcze zaplanowaną wizytę w Żółkwi, dawnym ukochanym mieście hetmana Stefana Żółkiewskiego, a później własności króla Jana III Sobieskiego. W Żółkwi odwiedziliśmy najcenniejszy zabytek, wzniesioną na polecenie hetmana Żółkiewskiego kolegiatę św. Wawrzyńca. Kościół szczególną pieczę otaczał prawnuk hetmana, król Jan III Sobieski. Przed 1939 rokiem uznawana była za jedną z trzech najważniejszych Świątyń Rzeczypospolitej. Pod względem wystroju wnętrza była jedyną w swoim rodzaju. Jej ściany zdobiły imponujących rozmiarów obrazy o tematyce batalistycznej, przedstawiające zwycięskie bitwy hetmana Żółkiewskiego i króla Jana III Sobieskiego. Ich rozmiary dochodziły do 85m². Po zwiedzeniu kościoła zeszliśmy do krypty, gdzie złożone są sarkofagi ze szczątkami hetmana Żółkiewskiego i jego rodziny. W świątyni byliśmy umówieni z obecnym proboszczem księdzem Jozefem Legowiczem. To właśnie on oprowadził nas po Przybytku Wiary, udzielając obszernych wyjaśnień. Powodem naszego spotkania z duchownym było także przekazanie zabranych z Polski bajek i książek w języku polskim dla dzieci z rodzin pochodzenia polskiego. Jest ich już coraz mniej, ale wiele jeszcze chce poznać j

język swoich przodków i uczą się języka polskiego w prowadzonej przez księżę niedzielnej szkółce. To właśnie dla nich zabraliśmy z Poznania kilkadziesiąt egzemplarzy bajek i różnych powieści.



Po opuszczeniu Żółkwi obraliśmy kierunek na przejście graniczne. Tym razem także mieliśmy szczęście bo poza nami nie było żadnych autokarów. Ukraińscy celnicy postanowili pokazać nam, kto ma w tym miejscu władzę i zamiast zbierać paszporty nakazali przyjść nam do hali odpraw ale.... z bagażami. Trzeba więc było wszystko rozpakować zabrać wszystkie swoje torby i torebki i pomaszzerować do celników. Poszliśmy. Każdy z nas otrzymał pieczętkę w paszporcie i wróciliśmy. Bagażem nikt się nie zainteresował. Zapakowaliśmy więc wszystko ponownie do autokaru i przejechaliśmy na stronę polską. Tu stał się cud i odprawa przebiegła błyskawicznie. Byliśmy ponownie w kraju. Droga powrotna minęła nam w doskonałych nastrojach. Prof. Aleksander Kabsch zainicjował śpiewanie dawnych piosenek harcerskich i patriotycznych, ale nie wszystkie udało nam się odśpiewać do końca. Okazało się, że niestety nie znamy już słów. Wniosek na przyszłość? Zabrać śpiewniki. Jeszcze w trakcie jazdy, jedna z uczestniczek pani Halina Kowalewska napisała tekst opisujący nasz pobyt w Lwowie, który po krótkim przećwiczeniu odśpiewaliśmy wszyscy na znaną melodię. O to, by uprzyjemnić czas przejazdu autokarem zadbał też Witek Namierła, zabierając w podróż doskonałe filmy na płytach DVD. Późnym wieczorem wróciliśmy szczęśliwie do Poznania. Adam z wysokości cokołu spojrzął na nas, policzył i kiwnął głową, że wszystko się zgadza.

Anna Wachowiak – Rybarczyk

Sadząc po ilości ciepłych słów, które spłynęły do mnie drogą mailową, wyjazd uważam za bardzo udany.